

## C. S. FRIEDMAN

### Śniący gatunek

1. Był taki czas pomiędzy zachodem słońca a zmrokiem, kiedy ściana dzieląca światy robiła się cienka; i jeśli wtedy ktoś patrzył - jeśli umiał patrzeć - widział przemykające na drugą stronę małe, ciemne stworzenia z krainy snów. On, zwany Łowcą-w-Mroku, umiał patrzeć. Nadchodził czas tuż przed zapadnięciem prawdziwej ciemności, krótki moment równowagi pomiędzy Nocą a Dniem. Trwał zaledwie kilka sekund (ale dostatecznie długich), a potem przejście znów się zamykało i stwory, które przeniknęły stamtąd tutaj, musiały pozostać tutaj na zawsze. Nigdy nie polował, dopóki ta chwila nie dobiegła końca. Nigdy jej nie przegapił, odkąd nauczył się patrzeć. Mgliste stworzenia fascynowały go, podobnie jak ich obecność w jego świetle. Oczywiście widywał takie stworzenia w sen-krainie i polował tam na nie; był to koci zwyczaj stary jak świat. Tutaj jednak wydawały się... jakieś złe. Jakby osłabiło je przejście pomiędzy światami. Ich wewnętrzny blask był przygaszony, często migotliwy, krawędzie rozmywały się od podmuchów wiatru, rozpływały się w cienkie smużki mgły. Przychodziły w tysiącach postaci, każda inna: od ostrokończystych robaków z bursztynowoszarej mgły do ciemnokarminowych krabów, przełazących przez niewidoczne kamyki i przeszkody w drodze do niewidzialnego morza. I wszystkie wydawały mu się złe. Polował na nie niegdyś jako kociak, szybko jednak zrozumiał daremność takich wysiłków. W świetle snu te stworzenia były materialne, mógł je wytropić, zabić i zjeść, lecz w krainie jawy przypominały duchy, których nie można chwycić ani zębami, ani pazurami. Po zetknięciu z nimi zostawał tylko obrzydliwy posmak, jak gorycz porażki. Wolał polować na te stwory tylko w swojej cienio-postaci, a godziny czuwania przeznaczyć na zdobywanie solidniejszego łupu. Tej nocy zamierzał polować w krainie ludzi. Bezksiężycowa noc nadawała się idealnie, a ciemność była tak gęsta, że czuł, jak ociera się o futro, dwie czernie w lodowatym jesiennym wietrze. Oczywiście musiał pokonać płot, który jednak nie stanowił poważnej przeszkody. Podobnie jak wytryskowi kastrata brakowało mu zapachu siły; jego pobratymcy tak często wydrapywali sobie przejście pod spodem albo przełazili po gałęziach wystających nad szczytem, że płot wyglądał - i pachniał - jak gościniec. Znalazł kanał prowadzący pod drutami i przeczołgał się z łatwością na drugą stronę, na rodzinny teren tych samych dwunogów, które kiedyś próbowały go zabić.

I tam znalazł zdobycz. Najpierw ją zobaczył, punkcik światła na tle hebanowej ciemności. Mysz? Stał już pod wiatr, więc rozpoczął ostrożne podejście. Wkrótce doszedł go zapach, chłodny i obiecujący - mysz. Postawił jedną łapę przed sobą na dywanie umierających liści, powoli przeniósł ciężar ciała do przodu.

Ostrożnie. Bez hałasu. Nie mogła go zwęszyć, na pewno nie mogła go zobaczyć:

tylko szmer jego kroków mógł ją ostrzec na czas. Czujnie nastawiła drobne uszka. Zamarł. Czas mijał. Wiatr się zmienił, ale nie odwrócił się całkowicie; już mu nie pomagał, ale też nie ostrzegł ofiary. Spokojnie. Spokojnie. Polna mysz rozejrzała się dookoła, przysunęła się dwa kroki bliżej do kępki bluszczu. Spokojnie, Łowco. A potem ofiara wreszcie się odprężyła i zaczęła węszyć za jedzeniem wśród opadłych liści. Odważył się postąpić krok do przodu, potem drugi. Zapach stracił czystość, ale mysz była wyraźnie widoczna, smużki ciałaoblasku przyklepione do brązowego futerka migotały wesoło, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Wiedział, że kiedy skoczy, mysz go usłyszy i pewnie rzuci się do ucieczki.

Odgadł, w którą stronę, przygotował się do poprawki... I - skok. Silne tylne nogi wyniosły go w powietrze, prosto jak strzała w kierunku ofiary. Mysz rzuciła się do ucieczki, dokładnie jak przewidział... i miał ją, pazury mocno wbiły się w łopatki, zęby radośnie otaczały cieniutką szyję. Ciałooblask myszy dostał mu się do nosa, kiedy - znużony szamotaniem ofiary - zabił ją.

Wiedział z doświadczenia, że taki blask nie zgaśnie od razu, że zniknie całkowicie dopiero o brzasku. Zjadł mysz tam, gdzie ją złapał, a słabo świecące resztki zostawił na stosie pożółkłych liści. Dobry posiłek. Po którym należy się dobre mycie, a potem...

Wtedy właśnie uświadomił sobie, że coś go obserwuje. Odwrócił się szybko. Uszy przyplaszczono, pazury wysunięte, gotów do walki z każdym intruzem. Lecz zobaczył tylko snostwora, świecącego jasno w ciemności. Nieapetyczny kształt, pół-ryba i pół-ślimak, z rozdziawioną bezzębną paszczą na przednim końcu. Uskoczył mu z drogi, nagle straciwszy pewność, że te stworzenia są nieszkodliwe. Sierść miał nastroszoną i chociaż próbował trochę ją przygładzić językiem, wewnątrz też się nastroszył: brzydki stwór napędził mu strachu.

Ale stwora nie interesowała obecność kota. Przepłynął obok, pod wiatr, aż dotarł do miejsca niedawnego posiłku. Wtedy zatrzymał się, jakby rozmyślał. W gardle Łowcy narastał pomruk odrazy i strachu. Chociaż stwór nie wydzieliał żadnej woni, otaczała go aura zdecydowanie złowroga; Łowca potrzebował całego opanowania, żeby nie uciekać albo nie zaatakować z miejsca, bez namysłu. Stwór przez długą chwilę wisiał nad szczątkami myszy, pulsując mglistym ciałem. A potem opadł na trupa jak pijawka; okrągła paszcza przywarła do resztek mysiej głowy. Zdjęty zgrozą Łowca-w-Mroku patrzył, jak stworzenie się pożywia. Nie wchłonęło żadnej materii, ale blask powoli zaczął blednąć. Migotliwe promienie zdrząły nad ciałem, potem zgasły; wkrótce świecił tylko pijawkowaty stwór - i sam Łowca.

Strach pokonał wreszcie ciekawość; Łowca-w-Mroku odwrócił się i umknął.

2. Dom był właśnie taki, jakiego Miles się spodziewał. Mały wiejski domek, który od prawie dwóch stuleci opierał się północnym wiatrom, zanim przyjaciel Milesa i były współlokator ze studiów postanowił go odremontować. Stał tu jak pomnik niepowtarzalnej osobowości Wesleya McGillisa, odnowiony do połowy i pewnie dożyłotnio skazany na ten stan: Wes zazwyczaj tracił zainteresowanie każdym projektem, jak tylko opanował już umiejętności niezbędne do jego realizacji, a ten dom nie stanowił wyjątku. Szkoda, pomyślał Miles. Budynek wyglądał obiecująco. Może córka Wesa, która ostatnio wprowadziła się do niego, nakłoni ojca do zakończenia prac.

Podskakując na gruntowej drodze, zarośniętej na środku gęstą trawą, samochód wjechał na podwórze pełne wybujałych chwastów. Wesley czekał na ganku - niech go szlag, nie zmienił się ani trochę od ostatniego spotkania! To już prawie dziesięć lat, uświadomił sobie Miles. On sam się zmienił, na pewno. - Jak ci się podoba? - zagadnął dawny współlokator, obejmując szerokim gestem dom, pola i nawet lśniącą białą cytadelę instytutu badań podstawowych Bell & Hammond, odległą o kilka mil. - Ładnie, co?

- Zimno. - Jeszcze w Marylandzie zostawił płaszcz w bagażniku; teraz szybko wyjął go i nałożył, zanim wyciągnął walizkę. - Wolę południe. - Daj, zaniosę. - Wesley sięgnął po walizkę, którą musiał wreszcie wyrwać Milesowi. - Mówisz jak oni, wiesz?

- Kto?

- Południowcy. Nigdy nie myślałem, że do tego dojdiesz. - Poprowadził go po schodach zniszczonego ganku do siatkowych drzwi, wyraźnie nowych. - Elsa przesyła pozdrowienia, żałuje, że nie mogła przyjechać. Jakies sprawy w NMHI, opowiem ci wszystko, jak się rozgościsz. Dziwna historia, naprawdę. Otworzył drzwi i przepuścił Milesa przodem.

- Uważaj na koty.

Jak na zamówienie szary pręgowany kocur rzucił się do drzwi. Z wypraktykowaną gracją Wes zastąpił mu drogę, wepchnął Milesa do prymitywnej kuchni i zatrzasnął za nimi siatkowe drzwi. Kot miauknął przeciągle na znak protestu i znikł w cieniu opodal.

Do kuchni przylegał pokój dzienny, w którym kominek pośrodku odpędzał najgorszy chłód. Wesley wskazał fotel na biegunach kryty perkalem, po czym kiwnął głową w stronę schodów na drugim końcu pokoju.

- Rozgość się, a ja to zaniosę. Nastawiłem wodę na kawę albo na herbatę, do wyboru. Zaraz wracam.

Miles zaledwie zdążył zauważyć, że fotel miał odrapane nogi i obicie wystrzępione od zwierzęcych pazurów, kiedy ze schodów doleciał okrzyk: „Na dół, do cholery!” Czarny od głowy do ogona, z białymi skarpetkami na trzech łapach, mały kotek skoczył na środek pokoju i tam zatrzymał się nagle, jakby rozważając dalsze postępowanie. Miles z wahaniem wyciągnął do niego palec; osobiście wołał psy i nie przepadał za kotami, ale jeśli to maleństwo należało do Wesa, przynajmniej powinien potraktować je życzliwie. Kot odwrócił się nagle przodem do Milesa i oczy mu się rozszerzyły. Cofnął się i zasyczał. Gęsta, długa sierść zjeżyła się na końcach, dając efekt jednocześnie komiczny i groźny. Małe gardziołko skurczyło się spazmatycznie i z pyszczką wydobył się ryczący dźwięk, który dobitnie świadczył o pokrewieństwie z lwami. Wstrząśnięty gość cofnął rękę. Każdy hałas czy nagły ruch mógł jeszcze bardziej rozdrażnić zwierzątko, więc Miles stał bardzo spokojnie - i bardzo, bardzo cicho - czekając na powrót Wesa i ratunek.

Na górze rozległy się kroki, potem rytmicznie zabrzmiały na schodach.

- Dałem ci frontowy pokój, trochę mały, ale najlepiej odnowiony. Myślę... Wes zatrzymał się, kiedy jego głowa wynurzyła się spod podestu, i jednym spojrzeniem objął żywy obraz: kot kontra profesor filozofii. - Uspokój się, Miles. - Ton jego głosu zdradzał rozbawienie. - On cię nie zaatakuję. Nawet go nie interesujesz.

- Ale kiedy wyciągnąłem do niego rękę...

- Tak, ale zobacz. To znaczy spójrz na jego oczy. On nawet na ciebie nie patrzy. Miles znowu spojrzał na kota, tym razem uważniej, i stwierdził, że Wes miał rację. Kocie ślepią wpatrywały się w jakiś punkt trochę na lewo od niego, bliżej środka pokoju.

- Więc o co mu chodzi, do cholery?

Gospodarz westchnął.

- Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Chyba powinienem cię zapoznać z projektem Elsy... skoro przez jakiś czas będziesz mieszkał z rezultatami. Jeszcze wszystkiego nie rozpracowaliśmy, ale właśnie dlatego Elsa pojechała porozmawiać z ludźmi z Ośrodka Zdrowia Psychicznego.

- Z powodu kota?

- Czterech kotów. A przedtem dwa mioty, które zniszczono wkrótce po urodzeniu. To są pierwsze, którym pozwoliliśmy dorosnąć... i sam nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy. Kawy?

- Proszę.

- Ze śmietanką?

- Czarna.

Kłopoty ze zdrowiem oduczyły go od takich przyzwyczajień; miał skłonność do tycia.

- To nie jest niebezpieczne, prawda? - rzucił nerwowo za Wesem, który poszedł zaparzyć kawę.

- Co, kawa? - zaśmiał się Wes. - Nie, one są za małe, żeby nas skrzywdzić.

Chociaż myszy na pewno mają inne zdanie.

Kot wciąż się jeżył, chociaż przestał ryczeć. Miles nawet nie wiedział, że koty potrafią wydawać takie dźwięki.

- Na co on patrzy? Czego się boi?

Milesowi zdawało się, że w pokoju niczego nie ma, a jednak kot wyraźnie śledził coś wzrokiem. Obserwując zwierzątko, widział nawet miejsce, gdzie powinno znajdować się owo tajemnicze „coś”, chociaż co to mogło być, nie miał pojęcia. Wes wrócił z dwoma kubkami parującej kawy i właśnie zaczął coś mówić, kiedy kot nagle wyskoczył w powietrze. Jakby coś go ugryzło, pomyślał Miles. Albo oparzyło. Zwierzątko zanurkowało pod siedzenie fotela i przycupnęło tam, dygocząc z przerażenia. Widać było tylko jego oczy, dwie bursztynowe iskierki w ciemności, które gorączkowo omiatały pokój.

- Chyba powinienem wyjaśnić - zaproponował Wes.

Miles kiwnął głową. Najwyższy czas.

Wydział badawczy Sloana-Ketteringa pracował na kotach już od dłuższego czasu (jak wyjaśnił mu Wes) w związku z badaniami nad rozwojem wzroku u wcześniaków. Odkąd rekombinacja genów stała się godną zaufania dziedziną nauki, importowali kilku specjalistów z tej dziedziny, żeby stworzyć koty o specyficznych upośledzeniach wzroku. Elsa dołączyła do nich w połowie lat dziewięćdziesiątych. Jeden z jej projektów przewidywał modyfikację genów potomstwa w celu zwiększenia wrażliwości chromatycznej - rutynowa operacja, która powinna przynieść rutynowe rezultaty. Zamiast tego otrzymano miot czterech kociaków, które od chwili, kiedy otwały oczy, wykazywały wszelkie objawy ludzkiej schizofrenii.

- Uśpiono je - oznajmił Wes. - Elsa spróbowała jeszcze raz. Ten sam wynik. Wtedy już sprawdzała po kilka razy każdy czynnik genetyczny i przeprowadziła autopsję każdego zwłok. Daremnie. Zarówno teoria, jak autopsja potwierdzały, że zwiększy ono tylko wrażliwość kociego aparatu wzrokowego na kolory; nic nie wskazywało na żadne zmiany w samym mózgu czy zakłócenia chemicznej równowagi ciała. - Więc zostawili przy życiu ostatni miot.

Wes przytaknął.

- I sam widzisz rezultaty. Kazała je wysterylizować, żeby osiągnęły dojrzałość, ale nic więcej. Chciała sprawdzić, czy zmiana równowagi hormonalnej wpłynie na ich szaleństwo. Nie wpłynęła. Przedtem mnie namówiła, żeby zabrać je tutaj, żeby otrzymały względnie „normalne” wychowanie.

- Nie pomogło?

- Sam zobacz.

Pręgowany kot z czarnym ogonem wśliznął się do pokoju, skradając się do czegoś, czego żaden z mężczyzn nie widział. Po chwili zasyczał i uciekł. - Owszem, koty czasami mają wymyślonych towarzyszy zabaw... ale nie do tego stopnia, i rzadko takich przerażających. Więc Elsa skontaktowała się z ludźmi w Ośrodku Zdrowia Psychicznego, a oni ją zaprosili do siebie. Żeby przedyskutować ludzkie analogie takich zachowań i ich ewentualne zastosowanie. Tymczasem... - Wzruszył ramionami pod adresem czarnego kotka, który dopiero teraz wysunął nos ze swojej mrocznej fortecy. - Mam ich trzy na głowie, a to żadna przyjemność. - Trzy? Mówiłeś chyba... - Były cztery - szybko odparł Wes. - Ale jeden wymknął się z domu, zanim zdążyliśmy je wysterylizować, więc... nie mieliśmy wyboru, Miles. Nie mogliśmy go zwabić z powrotem, a FDGA bardzo surowo podchodzi do genetycznie zmienionych okazów. Gdyby nie był płodny, moglibyśmy go zostawić na wolności. - A tak?

- Urządziliśmy obławę. - Z roztargnieniem łyknął kawy. - Właściwie załatwił to przyjaciel Elsy. Strzelił mu prosto w głowę. Biedny zwierzak wyrwał się tylko na dwa dni i dwie noce, więc miał minimalne szanse znalezienia partnerki. Tak naprawdę był jeszcze kociakiem... więc nie zgłosiliśmy tego. Istniało przecież ryzyko, że Elsa utraci licencję, rozumiesz? Więc teraz mamy miot trzech kociaków, jak podano w aktach. Zawsze były tylko trzy. Mały czarny kotek podszedł z niedbałym wdziękiem do najbliższego fotela, wskoczył na niego i zaczął się myć. Jakby nic się nie stało. Całkiem jak prawdziwy kot, pomyślał Miles. Tylko że to nie jest prawdziwy kot. Nauka go zmieniła. Nie-kot. Anty-kot. Nigdy nie pochwalał modyfikacji wyżej rozwiniętych gatunków i

teraz wiedział dlaczego. Za dużo DNA i znacznie za mało wiedzy. Oczywiście można chyba bezpiecznie modyfikować psy. Psy były przewidywalne.

Zrozumiałe. Koty zaś...

Popatrzył na małe czarne zwierzątko i wzdrygnął się.

...obce.

3. Zbierały się w krainie ludzi. Całymi dziesiątkami, księżycowo jasne na tle wieczornego nieba.

Nie senniaki, na które polował jako kocię, i daremnie chwycił je małymi łapkami, kiedy trzepotliwie przenikały przez ściany ludzkiego domu, nie zważając na jego wysiłki. Te były większe, groteskowe. Podobnie jak snostwór, który rościł sobie prawa do jego zdobyczy, cuchnęły zepsuciem, rozkładem; przerażały go i dopiero kiedy patrzył, jak gromadzą się wokół lśniących białych ścian ludzkiego domu, zrozumiał, że co noc jest ich więcej i że chyba gromadzą się w jakimś celu.

Nie pomogło, że noce robiły się coraz zimniejsze. Łowca był uzbrojony przeciwko zimowym chłodom w futro, które gęstniało z każdą nocą, ale łapy nie przywykły stąpać po zamrożonej ziemi, a blizna od kuli, przecinająca pyszczek, bolała dotkliwie przy niskiej temperaturze. Jedno i drugie wprawiało go we wściekłość. Kiedy nadciągały snostwory, często rzucał się na nie z wystawionymi pazurami, chociaż w głębi duszy wiedział, że żadne stworzenie jawy nie może ich dosięgnąć. Ale i tak próbował, wyładowując złość, i tylko warczał z rozczarowania, kiedy łapa przechodziła przez nie na wylot. Polował na nie w sen-krainie i nie mógł zrozumieć, dlaczego tutaj, w świecie jawy, były nietykalne; teraz, kiedy szły za nim podczas polowania i przywłaszczały sobie jego zdobycz, a on nie mógł ich odpędzić, sytuacja stawała się nie do zniesienia. Odpowiedź kryła się w krainie ludzi i Łowca postanowił ją odnaleźć. Lecz tutaj, na pustych polach, gdzie wola człowieka przycięła trawę niewygodnie krótko i wydarła z ziemi wszelkie osłony, musiał zachować ostrożność. Znał aż za dobrze potęgę człowieka i wcale nie pragnął się z nią zmierzyć. Niegdyś, w kocięctwie, przeszedł przez łożysko strumienia i gąszcz zarośli, wezwany znajomym głosem... a głos odpowiedział mu grzmotem i rozdzierającym bólem, który go oślepił, głowa uderzyła o kamień i zagarnęły go krainy cienia. Nie, nie zamierzał szukać ludzkiego towarzystwa, ale kraina ludzi czekała na niego. Tam były senniaki. I należało je przepędzić. Prosty fakt. Ostrożnie prześlizgiwał się wśród traw, tuż nad ziemią, pełną do przodu cal po calu. Powoli zbliżył się do wysokiego, białego ludzkiego domu. Podobnie jak mniejszy dom, ten również był otoczony płotem, wyglądającym zupełnie tak samo. Nie rosły tutaj drzewa z dogodnie przewieszonymi gałęziami, nie wygrzebano żadnego przejścia pod spodem. Postanowił wspiąć się na płot i skoczył z rozbiegu, żeby wylądować jak najwyżej - ale kiedy dotknął łapami drutu, zapiekły go jak przypalone ogniem, rozdzierający ból przeszył całe ciało falą przerażenia, mięśnie zadrgały spazmatycznie, pazury rozluźniły uchwyt i Łowca runął z wysoka na ziemię, straciwszy poczucie równowagi. Zawył, uderzając o zamrożony grunt i leżał oszołomiony, z poparzonymi łapami, sparaliżowany od wstrząsu.

Ten płot nie był jak tamten, o nie. Krył w sobie ludzką magię i podobnie jak piorun, który przedtem go trafił, był jego wrogiem, uzbrojonym i gotowym do zabijania. Łowca zrozumiał, że gdyby uczeplił się płotu, zginąłby; uratował go tylko upadek.

Upokorzony, podźwignął się na nogi. Łapy mu zdrętwiały, osłabły i drżące, ale zmusił je, żeby zaniósł go na zachód, do najbliższej kępy zarośli. Tam, pod osłoną drzew obejrzy i oczyści swoje rany. Nie tutaj, gdzie człowiek mógł go znaleźć.

Minął znak zapachu, ale go zignorował; brakowało mu sił, żeby wrócić na własny teren, musiał więc zaryzykować naruszenie granic. Dopiero kiedy wszedł w gąszcz, zatrzymał się i rozejrzył za schronieniem. Niezdolny do wspinaczki, walcząc z narastającym bólem przy każdym kroku, wreszcie upadł na kępę bluszczu; liczył, że kot, który oznaczył to miejsce, jest gdzieś daleko i patroluje inną granicę swego terytorium. Łowca nie miał sił do walki.

Odpywał w sen, kiedy zbudził go jakiś szelest. Krainy cienia rozwiały się jak dym i Łowca stwierdził, że stoi po kolana w bluszczu, na wszystkich czterech łapach dygoczących z bólu, ale gotowy do walki - o tak! - i biada kotu, który rzuci mu wyzwanie!

Potem coś zaszeleściło głośniejsze i pomiędzy dwóch gałęzi wyjrzała głowa. Mała główka, same oczy i wąsy. Potem druga, równie mała. Wiatr przyniósł zapach kociąt, ostrzegawczy: trzymaj się z daleka.

A potem pojawił się trzeci pyszczek i Łowca zapomniał o całym świecie. Ponieważ zielony płomień, który płonął w oczach ostatniego, był jak jego własny ciałoblask, a sposób wybierania drogi przez zarośla świadczył, że małe widzi w ciemnościach równie dobrze jak Łowca. Zielony ogień igrał na jego futerku, kiedy kociak się zbliżał, zaciekawiony i rozbawiony. Łowca zamierzał już go obwąchać, kiedy w polu widzenia pojawił się snostwór: kociak skoczył za nim z miauknięciem, spadł na suche trzeszczące gałęzie, potem spróbował znowu i znowu. Widział je w świecie jawy! Łowca-w-Mroku był zdumiony. Przez całe swoje życie w lasach nigdy nie spotkał innego kota, który polował na snostwory jak on. Już chciał pójść za kociakiem, kiedy nagle dotarł do niego inny zapach, tym razem dorosły - i wrogi. Odwrócił się i stanął nos w nos z rozwścieczoną samicą. Łapa śmignęła mu tuż przed nosem, więc cofnął się o krok; walczyć z rozgniewaną matką?! Cofał się coraz dalej, kiedy nacierała na niego. Wreszcie, nie zważając na godność i obolałe łapy, rzucił się do ucieczki. Łapy paliły go żywym ogniem, w końcu nie mógł już dłużej biec. Odważył się przystanąć i obejrzeć. Pusto. Na pewno wróciła do swoich kociąt. Wdzięczny za jej macierzyńskie instynkty, upadł na ziemię i zaczął od nowa lizać swoje rany. Ten kociak... i jego matka. Co w niej było takiego znajomego? Nie zapach, pomyślał. Nie całkiem. Znał kiedyś pewną samicę, w czasie ciepła i deszczu, ale tamta miała inny zapach. Bardziej przyjazny. Prawda? Rozgrzany wspomnieniem swojej towarzyszkii rui, ułożył się w wygodnej pozycji - przynajmniej stosunkowo wygodnej - i pozwolił się zanieść do krainy cienia, żeby ciało mogło leczyć się w spokoju.

4. Miles spojrzął na biały budynek, obłany zimnobłękitnym światłem poranka błyszczącym na górnych elewacjach, i kiwnął głową. - Więc to jest To?  
- To jest To - potwierdził Wes. - Siedziba mojego ulubionego projektu. I Bogu dzięki za Bell & Hammond, bo nie dałbym rady pokryć kosztów ze zwykłych grantów. Nie przy przewidywanych rezultatach dopiero za dekadę lub dwie.  
- Próbowałeś?

Wes pokazał swoje przepustki strażnikom, czyste paski plastiku, które przeciągnęli przez czytnik i zwrócili. Przypięli Milesowi do kłapy coś, co wyglądało jak karta kredytowa.

- Oczywiście, że próbowałem. Ale nie mogłem uzyskać potrzebnych gwarancji, więc... prywatny sektor, ostatni bastion naukowej ciekawości. Tędy - powiedział, otwierając identyfikatorem nieprzezroczyste drzwi. Korytarze w instytucie Bella & Hammonda były równie czyste i sterylne jak fasada. Miles zastanawiał się, jak jego przyjaciel, wykazujący skłonność do bałaganiarstwa, mógł tutaj wytrzymać. Skoro w ogóle wytrzymał, widocznie bardzo mu zależało na tym projekcie.

Wreszcie ostatnie drzwi, otwierane oddzielną kartą-kluczem.

- Witamy w Edenie - oznajmił Wes, otwierając drzwi z rozmachem. Jak na raj pomieszczenie wyglądało bardzo skromnie. Owszem, wszędzie stały komputery, wzdłuż wszystkich czterech ścian, i wysoki do ramienia prostopadłościan na środku, ale miały jednakowe gładkie obudowy, typowe dla całego kompleksu. Niczym nie zdradzały, dlaczego tutaj stoją i co właściwie robią. Miles czekał.

- To jest projekt Eden. Moje własne dzieło od początku do końca. No i co myślisz?

- Masz tutaj sporo hardware'u - przyznał Miles. - Z resztą zaczekam na wyjaśnienia.

- Oczywiście. Ale od czego zacząć? - Dumnie rozejrzał się po pokoju: jego dzieło, o tak, w każdym sensie tego słowa. - Jakieś pięć miliardów lat temu na Ziemi pojawiło się pierwsze życie. Tutaj, w tym pokoju zamierzam powtórzyć ten proces. Co ty na to?

- Przydałoby się trochę więcej szczegółów - zasugerował Miles. Potem dotarła do niego treść słów przyjaciela. - Mówisz poważnie? W tym pokoju? - No właśnie. Pomyśl o tym. Wiemy, że właśnie w tamtym okresie pewien zespół warunków zainicjował proces biologiczny, który nazywamy „życiem”. Może sprzyjające warunki pojawiły się tylko jeden jedyny raz albo szansa była tak astronomicznie mała, że nigdy się nie powtórzyła... nigdy tego nie zbadaliśmy, chociaż byliśmy blisko. Stworzyliśmy własne wirusy, wymodelowaliśmy bakterie, zabawialiśmy się w Boga z niektórymi wyższymi zwierzętami... ale zawsze musieliśmy zaczynać od zarodka życia, jakiejś żywej drobin, bez której nie mogliśmy nic zdziałać. Proponuję zacząć od zera. Czy idea jest wystarczająco szalona dla ciebie, Miles? Spiszysz ją na straty jako moje kolejne dziwactwo - Bóg wie, że mam ich sporo - czy chcesz poznać szczegóły? Rzeczywiście, dziwnie to zabrzmiało, ale...

- Jeśli potrafiłeś przekonać firmę taką jak Bell & Hammond, że nie zwariowałeś, to chyba cię wysłucham. Zaczynaj.

Wes czule położył rękę na środkowym urządzeniu i kiedy dotknął ekranu, rozległ się trzask zakłóceń.

- Rozumowałem następująco: wiemy w przybliżeniu, kiedy pojawiło się pierwsze życie. Z dokładnością do miliarda lat. Znamy warunki panujące na Ziemi w tamtym okresie, skład atmosfery i temperaturę powierzchni, i możemy obliczyć resztę istotnych szczegółów, jak grawitacja, orbita, magnetyzm i tak dalej. Gdzieś wśród tych danych znajduje się układ warunków, który pozwolił aminokwasom na powielanie się... co stanowi podstawową definicję życia w moim rozumieniu. Próbowaliśmy znaleźć formułę, która odkryje przed nami te warunki, ale ponieśliśmy klęskę. Próbowaliśmy logicznie prześledzić wstecz kolejne etapy, też bez powodzenia. Proponuję tylko, żeby komputery zrobiły to, w czym są najlepsze: niech przeglądają dane bit po bicie, aż znajdą coś obiecującego, a potem przetestują we wszystkich permutacjach. Te maszyny - szerokim gestem wskazał rząd komputerów zajmujący całą ścianę - matematycznie odtwarzają warunki panujące na Ziemi w tamtym okresie. Uwzględniamy wszelkie możliwe czynniki. Plamy na Słońcu, aktywność wulkaniczną, uderzenia meteorytów... uważasz, że to ogromny projekt? Słusznie. Dlatego tylko maszyny z tym sobie poradzą. I dlatego może upłyną dekady, zanim otrzymamy jakąś odpowiedź. - Nic dziwnego, że miałeś kłopoty ze sfinansowaniem.

- Dziwne, że B&H zgodziło się to sfinansować - przyznał Wes - ale nie żałuję. Odpowiedź może pojawić się za dziesięć lat... albo jutro. To zaprogramowany system prób i błędów z prawie nieograniczoną bazą danych. Starłem się nie obarczać go żadnymi ludzkimi oczekiwaniami, skoro ludzkie systemy zawiodły. Tutaj w środku - poklepał miłośnie środkową maszynę - przeprowadzimy praktyczne testy. Jak tylko zaistnieje sytuacja, która umożliwi powstanie właściwych wiązań chemicznych, system zainicjuje program testujący, który odtworzy identyczne warunki. Oczywiście najpierw matematycznie. Ta część jest automatyczna. - Oczy mu błyszczały, mówił z ożywieniem, jakiego Miles u niego nie pamiętał. - Chciałbym wejść tutaj i odkryć, że sekwencja testująca już się rozpoczęła. Oczywiście raczej nie mam szans.

Cała koncepcja dopiero teraz dotarła do Milesa, który rozejrzał się z podziwem po pokoju.

- Więc można powiedzieć... w sensie matematycznym... że proces tworzenia życia już trwa.

- Lubię tak myśleć.

Miles pokręcił głową, próbując przyswoić sobie to wszystko, co usłyszał.

- Dobrze, że nie jesteś religijnym człowiekiem, Wes. Ani filozofem.

- Dlaczego? Myślisz, że wtedy postąpiłbym inaczej? - Jeśli istnieje taka rzecz jak dusza i jeśli każde żywe stworzenie ją posiada...

Podszedł do środkowego komputera i dotknął go dłonią. Zimny. To go zdziwiło, chociaż nie powinno. Czyżby podświadomie utożsamiał życie z ciepłem? - Skąd weźmiesz nową duszę, kiedy stworzysz swoją żywą istotę? Duszę też stworzysz? A może istnieje jakaś świadomość, która połączy się z twoim stworzeniem? Wprowadzi się i zajmie gospodarstwem, jak to mówią.

Człowiek religijny martwiłby się tym... oraz ewentualnym pochodzeniem tej duszy. -

Dziwaczysz na starość, Miles. Świat jest pełen dusz, nowych i starych. Tak nauczają nasi kapłani.

- Ale kiedyś nie był. A twoje maszyny odtwarzają dokładnie takie warunki. - Wzruszył ramionami.

- To daje do myślenia.

- Wolno ci napisać artykuł na ten temat.

- Minie dużo czasu, zanim go opublikuję.

- Czyżby? - Wes zawahał się, zniżył głos i mówił teraz niemal szeptem: - Czasami dosłownie czuję, jak to się dzieje. Stoję tutaj i jakby wyczuwam ten proces, jakby coś prawie pasowało... prawie, ale nie całkiem. Jakby miało się zacząć w każdej chwili, nawet kiedy tutaj stoję... czy ja zwariowałem, Miles? - Już dawno.

- Chciałem zapytać, czy też to czujesz? Ten początek... narodziny. Jeżeli, jak mówisz, proces już się rozpoczął...

- Czuję tylko, że jestem zmęczony. I trochę boli mnie głowa. - Dotknął czoła lodowatą ręką i zdziwił się, że nagle ogarnęła go słabość. - Chyba za dużo na mnie zważyłeś, Wes. Potrzebuję czasu, żeby to sobie przyswoić, zanim oddam się szaleńczym spekulacjom.

- Co ci jest? - zapytał przyjaciel z troską.

- Tylko zmęczenie, nic więcej. Długo jechałem. A to wszystko naprawdę jest przytłaczające. -

Potarł czoło, gdzie jakby skupiało się najgorsze znużenie. - Implikacje filozoficzne są oszołamiające. Daj mi trochę czasu, Wes. I śniadanie. Były współlokator uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

- A potem krótka drzemka, co? Nigdy nie lubiłeś wcześniej wstawać.

- Dopiero po trzydziestu latach zauważyłeś?

\*

Łowca-w-Mroku obserwował ze skraju lasu, jak dwaj mężczyźni wracają; krył się w cieniu, żeby go nie spostrzegli. Słońce oślepiało, ale nie tak mocno, żeby nie zauważył krabowatego kształtu, który tkwił na głowie niższego człowieka. Senniak, ciemna plama na tle porannego blasku; przyciskał macki do twarzy człowieka, który od czasu do czasu próbował go spędzić, jakby wyczuwał jego obecność. Ale ręka przechodziła przez stwora na wylot. Zdjęty chłodem pomimo porannego ciepła, Łowca-w-Mroku odczłgał się głębiej w cień.

Musiał pomyśleć.

## 5. Kochany Tato!

No, zostanę dłużej, niż pierwotnie planowałam, ale przecież braliśmy pod uwagę taką możliwość. Mam ci tyle do powiedzenia, że sama nie wiem, od czego zacząć; wystarczy wiadomość, że wymyśliłmy pewne interesujące hipotezy wyjaśniające zachowanie tych małych potworów.

Na razie najbardziej obiecujące teorie dotyczą pewnego rodzaju zakłóceń snu. Doktor Langsdon wyciągnął dla mnie taśmę z kotami, którym podano środek powodujący, że kiedy zasną, ich



aktywność motoryczna nie została zahamowana, jak to zwykle dzieje się podczas snu. W rezultacie poruszały się przez sen i - jak się domyślasz - ich zachowanie bardzo przypominało ekscesy naszych domowych pupilków. Więcej na ten temat... ale naprawdę powinnam poczekać, aż wrócę do domu, żeby opowiedzieć ci osobiście. To strasznie ciekawe! Skończyło się na tym, że nie wyjadę wcześniej niż w następną niedzielę. Czy to znaczy, że nie spotkam się z Milesem? Powiedz mu, żeby zatrzymał się w Marylandzie, jeśli zamierza wracać do domu przed moim przyjazdem, zabiorę go na lunch. Albo na obiad.

Pogłaszcz ode mnie potwory.

Elsa

6. Krainy cienia były wyjątkowo mroczne w tym sen-czasie, toteż błyszczaki wyglądały jeszcze bardziej dramatycznie niż zwykle. I bardziej rozpraszały uwagę. Łowca-w-Mroku przystanął na chwilę w lesie sen-krainy, żeby popatrzeć, jak maleńkie ognioduszki budzą się do życia i śmigają wśród bezlistnych gałęzi. Próbował wyczuć rytm tego tańca, żeby przewidzieć ich ruchy. Czasami mu się udawało. W górze zimne, martwe drzewa krainy cieni spletały pajęczą sieć strzępiastych czarnych konarów, a jaskrawe błyszczaki igrały wśród nich jak wiewiórki: pędziły wzdłuż jednej gałęzi, zawracały, żeby osmalić korę na innej, przeskakiwały przez puste miejsce - i nagle, nieodwołalnie znikwały w ciemnościach. Dzisiaj było ich mnóstwo i kiedy tańczyły na tle nieba, ich blask przesywał cienie i sprawiał, że ciemność drżała. Niedobry sen-czas na polowanie, zdecydował Łowca. Nawet drzewa wydawały się czarniejsze niż zwykle, a gałęzie tworzyły złowieszcze wzory nad głową, niczym pęknięcia w niebie. A w powietrzu rozchodził się zapach, który nie należał ani do krainy cienia, ani do świata jawy; niesiony wiatrem smród zepsucia. Łowca obnażył zęby i zasyczał z odrazą. Odwrócił się, żeby uciec od tego fetoru, żeby poszukać zdobyczy gdzie indziej.

I przypomniał sobie...

Co?

Potrząsnął głową, otumaniony. Smród nakazywał mu odejść, uciekać, oddalić się od tego miejsca... lecz coś, czego dokładnie nie pamiętał, kazało mu zostać i ten zew był odrobinę silniejszy. Coś... Próbował to umiejscowić.

...ze świata jawy?

Nagle odzyskał świadomość i wspomnienia napłynęły tak gwałtownie, że prawie zwały go z nóg. Prawda, próbował sobie przypomnieć - od ilu snów? - ale za każdym razem, kiedy wchodził w sen i od nowa wkraczał do krainy cienia, zupełnie zapominał o swoich zamiarach z czasu jawy. Ale nie tym razem. Pozostała niteczka wspomnień, w którą wczepił się wszystkimi czterema łapami, próbując uchwycić coś, co prawie przekraczało jego zdolności pojmowania. Jak wszystkie koty, śnił. Jak wszystkie koty, polował w wiecznym zmierzchu krainy cienia, udoskonalając swoje umiejętności w świecie, który wymagał najwyższego skupienia i najszybszych reakcji. I podobnie jak wszystkie koty - aż do tej nocy - przechodził z jednego świata do drugiego nie myśląc, wypływał z krainy cienia, budził się i wyglądał futerko, a potem znowu odpływał do sen-świata, tam i z powrotem w rytmie tak starożytnym i naturalnym jak sam sen. Lecz tej nocy było inaczej. Tej nocy wiedział, rozumiał, że kiedy polował w tym miejscu, pod strzępiastymi drzewami, jednocześnie spał w jamie wysłanej liśćmi. Po raz pierwszy w życiu, bez pomocy słów czy doświadczenia, usiłował zrozumieć naturę snu. I zrozumiał wreszcie, dlaczego pozostała w nim ta podwójna świadomość, dlaczego zasnął z określonym obrazem utrwalonym w mózgu. Zwrócił się w kierunku źródła cuchnącego wiatru, niosącego wiadomość-strach. Lecz strach już nie rządził jego umysłem. Łowca bez pośpiechu zbadął woń, posmakował ją na języku. Ujrzał we wspomnieniach senniaki, kłębki mgły zostawiające właśnie taki wstrętny posmak w pysku; tak cuchnęło niebezpieczeństwo i Łowca zawarczał z głębi gardzieli, kiedy je rozpoznał. W normalnych okolicznościach wybrałby ucieczkę, teraz jednak był więcej niż zwykłym cienio-sobą i jego wściekłość dwukrotnie przewyższała strach. Ponaglany wspomnieniem złych senniaków,

skierował się do źródła smrodu. Poza sen-światem niezdolny był polować na takie stwory, lecz tutaj, w krainie ich narodzin... syczał ze strachu i jeżył sierść, kiedy rozpoczynał podejście, ale nawet nie pomyślał, żeby się wycofać. Te stwory splugawiły jego terytorium, zlekceważyły jego zapach i sprofanowały jego zdobycz; albo na jawie musiał opuścić ich teren, albo rozprawić się z wrogami w ich własnej krainie. Kryjąc się jak myśliwy, który wybrał już ofiarę, pełznął powoli w stronę źródła smrodu. Przystawiał łapy tak ostrożnie, jakby od tego zależało jego życie. Wszędzie wokół zapalały się nowe błyszczaki, zakreślały ogniste błyskawice i rozplywały się w ciemności; przy ich świetle wybierał drogę wśród martwych korzeni, kierując się zmysłem węchu. Stopniowo zapach nabrał mocy i coraz wyraźniej przekazywał wiadomość. Zawracaj. Odejdź. To miejsce nie dla ciebie. Łowca musiał przewyciężyć swój instynkt przetrwania, żeby iść dalej, ale wspomnienia nie pozwoliły mu zawrócić.

Nie wiedział, jak wiele czasu minęło, zanim usłyszał płacz; skupiony na głównym celu, nie bardzo zwracał uwagę na otoczenie. Lecz płacz w końcu przedarł się do jego świadomości, żalosne miauczenie, które zatrzymało go w pół kroku. Płacz kociaka, pełen bólu i przerażenia.

Znał ten głos. Ale on należał do świata jawy.

Jak to możliwe?

Zamarł na chwilę, sparaliżowany niezdecydowaniem. Potem płacz rozległ się znowu, straszliwy wrzask cierpienia, nieodparte żądanie pomocy. Łowca ruszył truchtem - biegiem - w stronę tego głosu. Oczami wyobraźni zobaczył małego czarnego kotka, z zielonymi oczami płonącymi jak błyszczaki w półmroku krainy cienia. Co on tutaj robił, ten kot ze świata jawy? Przecież każdy łowca wkraczał do krainy cienia samotnie.

Pędził. Nad skręconymi korzeniami, pośród błyszczaków, senniaków i szybujących straków ze świecącymi nasionami, które osiadały na ziemi tam, gdzie przeszedł. Dźwięk słabł z każdą chwilą. Łowca musiał do niego dotrzeć, zanim całkiem zniknie, musiał się pospieszyć...

Wyskoczył na polanę tak nagle, że musiał hamować wszystkimi pazurami. Był tutaj. Kociak. Ten sam, którego spotkał w krainie jawy, którego płomienne spojrzenie tak go poruszyło.

One też tu były. Senniaki. Te gorsze, z kłami i rozdętymi cielskami, cuchnące stwory, które po polowaniu przywłaszczały sobie jego zdobycz. Obsiadły kociaka i pożywiały się. Wbiły ssawki i zęby w jego drżące ciało, ich dziwaczne kształty jaśniały coraz mocniej w miarę jedzenia. Świeciły tak jasno, że Łowca-w-Mroku widział krew kociaka skapującą na ziemię i rany lśniące karminowo na czarnym jak dżet futerku.

Ogarnęła go wściekłość. Przestał myśleć, zmienił się w ślepy pocisk. Jeden skok i dopadł najbliższego, rybiego stwora ze szponami zamiast płetw i długim kolczastym ogonem. Tutaj te stwory miały materialne ciało, więc rozdarł je z rozkoszą. Tak szybko unicestwił wroga, że inne dopiero zaczynały reagować, kiedy wybrał następną ofiarę. To nie było polowanie, tylko zabijanie, łatwe i proste, chociaż nie sprawiało mu przyjemności. Wężowy senniak ze srebrzystymi kolcami na grzbiecie gotował się do walki; zanim zdążył przyjąć pozycję, Łowca przejechał mu pazurami po paszczy, aż strumień gorącej krwi trysnął na łapę i pierś. Kły wbiły się w jego tylną nogę, ale kopnął gwałtownie i zęby puściły. Senniaków było więcej, niż mógł policzyć, on jednak siekł wokoło zębami i pazurami bez wytchnienia. Wreszcie, sycząc ze złości, stwory, które przeżyły jego atak, umknęły z pola walki.

Nie tracił czasu na lizanie ran, tylko rozejrzał się za rannym kociakiem, który odpełznął na bok podczas walki, zostawiając za sobą wątlą smuzkę krwi. Ciałooblask malca tak przygasł, że Łowca nie mógł go znaleźć, zdał się jednak na węch i wreszcie odszukał drżące stworzonko, małeńką wilgotną kulkę futra, która zasyczała słabo, kiedy się zbliżył. Kociak był ciężko poraniony i wyraźnie przerażony. Nic dziwnego! Polowanie na senniaki miało między innymi tę zaletę, że się nie broniły; można było je ściagać - albo błyszczaki, albo latające strąki - bez obawy zranienia,

bezpiecznie ćwiczyć myśliwskie umiejętności, potrzebne później w świecie jawy. Żeby atakowały - to było nie do pomyślenia. Że w ogóle mogły atakować - to było przerażające.

Łowca-w-Mroku łagodnie trącił pyskiem kociaka i zaczął lizać jego rany, czyścić je z brudu i krwi. Początkowo kociak nie reagował i Łowca pomyślał, że już po nim. Lecz po chwili w małym gardziółku narodził się cichutki pomruk, który opadał i narastał w rytmie leczniczych zabiegów. Łowca zrobił, co mógł dla mruczącego malca, zachwycony jego regeneracyjnymi zdolnościami. Wreszcie wyprostował się zadowolony, że malec przeżyje, i zajął się własnymi ranami. Niedawna furia wygasła, pierwotny cel znowu go wzywał i Łowca wiedział, że musi ruszać dalej. Kociak sam się o siebie zatroszczy, zdecydował. Nie ma wyboru.

Podniósł się, zrobił trzy kroki - i przystanął. Obejrzał się za siebie. Kociak też się podniósł i stał tuż za nim. Gotów mu towarzyszyć. Łowca warknął ostrzegawczo, lecz bez prawdziwej groźby - a mały, jak większość kociaków, zignorował wrogość dorosłego. Wykręcając głowę do tyłu, żeby obserwować malucha, Łowca-w-Mroku znowu ruszył przed siebie... i patrzył ze zdumieniem, jak kociak podreptał za nim z krótkim miauknięciem mówiącym, że tak, łapy go boją, ale jakoś sobie poradzi, jakoś dotrzyma kroku starszemu kotu. Z prychnięciem niedowierzania Łowca ruszył truchtem przed siebie. Zastanawiał się, dlaczego towarzystwo tego malca - za młodego na rozwagę, zbyt osłabionego, żeby pomóc - sprawia mu przyjemność.

\*

To było tam, w oddali. Niewyraźne, niemal widmowe kontury ledwie widoczne w mrokach krainy cienia... ale na pewno tam było, chociaż nie powinno. Biały ludzki dom.

Łowca podkraść się do skraju lasu, z nisko opuszczoną głową, czujny i podejrzliwy. Ściana pomiędzy światami musiała być bardzo cienka, skoro takie rzeczy mogły przez nią przeniknąć. Myśl zmroziła go wewnątrz i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy kociak wciąż mu towarzyszy. Dziwne, ale widok malca dodawał mu otuchy.

Wszędzie wokół budynku kłębiły się senniaki. Zmutowane senniaki, jeszcze paskudniejsze niż tamte, które napadły na malca. Jak przedtem, zdawały się na coś czekać... tylko na co?

Kociak poruszył się pierwszy. Za młody, żeby hamował go strach, prześliznął się pomiędzy dwoma grubymi korzeniami na otwartą przestrzeń. Na tle ciemnej trawy jego drobna czarna sylwetka przemykała niczym cień, słaby wewnętrzny blask wyglądał prawie jak odbicie błyszczaka. Łowca-w-Mroku ostrożnie ruszył za nim. Był większy, świecił mocniej i bez osłony czuł się nieswojo; szedł jednak dalej i dopiero przed ogrodzeniem dwa koty zatrzymały się, żeby ocenić sytuację. Nieufnie, przygotowany na najgorsze, Łowca-w-Mroku wysunął łapę do przodu i szybko dotknął drutów. Ludzka magia strzegła przedtem tego miejsca, ale w krainie jawy; tutaj, gdzie nie mieszkał żaden człowiek, płot nie musiał stanowić przeszkody. I rzeczywiście, łapa przeszła na wylot przez druty jak przez iluzję; ludzki płot był w tym świecie jak duch i nie miał mocy. Łowca przeszedł przez płot; kociak za nim. Kilka senniaków przefrunęło nad ich głowami; jeśli ich zauważyły, nie wykazały zainteresowania. Podobnie jak polujące koty, wołały małą i słabą zdobycz; pewnie zlekły się Łowcy-w-Mroku i ze względu na niego omijały także kociaka.

Lecz kiedy przebyli połowę drogi do budynku, rozpoczęła się Zmiana. Początkowo Łowca niczego nie zauważył. Migotanie w powietrzu zniekształcało kontury wszelkich przedmiotów, czemu towarzyszyło wrażenie napięcia w całym ciele... początkowo te zjawiska wydawały się obce i Łowca przypadł do trawy w czujnym milczeniu. Później jednak zorientował się, co to jest i co mógł osiągnąć, gdyby dotarł tam na czas - więc zerwał się w mgnieniu oka i popędził, nie zważając na snostwory, kociaka i innych mieszkańców krainy cienia, żeby dopaść ściany pomiędzy światami, zanim się zagoi i znowu stanie się nieprzebyta. Przechodzenie przez ścianę przypominało nurkowanie w zaspie śnieżnej. Przez mgnienie Łowca odczuwał zimno tak dojmujące, że prawie uniemożliwiało ruch, tak przenikliwe, że wymazało wszelkie wspomnienia ciepła. I ciemność.

Przez chwilę obawiał się, że utknie wewnątrz bariery, ugrzęźnie pomiędzy dwoma światami bez dostępu do żadnego z nich. Potem strach - i zimno - zostały za nim, spadł na ludzką podłogę, wyhamował z poślizgiem i tracąc wszelką godność rąbnął o ścianę, która zbyt nagle stała się prawdziwa.

Znajdował się wewnątrz ludzkiej budowli - wewnątrz! - i znowu w świecie jawy. Przeszedł tę samą drogę co senniaki i jeśli rozumował prawidłowo... Podskoczył i sięgnął do senniaka szybującego w górze, i poczuł, jak pazury rozdierają ciało stwora, zanim opadł z powrotem na podłogę. Tak! Teraz mógł na nie polować, w swoim własnym świecie. Na swoich warunkach. Łowca-w-Mroku, który przeszedł przez krainę cienia i jeszcze dalej!

Głuchy łomot przypomniał mu o kociaku, więc odwrócił się i zobaczył swego małego sprzymierzeńca, który zaplątał się we własne łapy u podstawy tej samej ściany. Pomógł mu wstać i zauważył, że od wstrząsu ponownie otwarła się rana na łopatce. Cienka karminowa smużka znaczyła miejsce, gdzie kociak uderzył w ścianę, a kiedy podszedł do Łowcy, zostawiał za sobą czerwone odciski łap. Ale większy kot wiedział, że nie może zrobić nic więcej. Lecz doznał ulgi widząc, że mały pokonał przejście, i polizał mu bok na powitanie. Potem niskie buczenie przyciągnęło jego uwagę i ciarki przepelżyły mu po skórze, kiedy zrozumiał, skąd płynie ten dźwięk.

Głosy senniaków.

Kociak zeszytywniał, postawił uszy; więc również je usłyszał i rozpoznał. Nieważne, że nigdy przedtem nie słyszeli, żeby snostwory wydawały choćby najcichsze piski; ten dźwięk mieli zakodowany w genetycznej pamięci i poznali go natychmiast. Coś w tym miejscu albo w dziurze między światami dało głos snostworom. Które były głodne. Łowca słyszał to wyraźnie w ich zewie i strach ścisnął mu serce. Na chwilę instynkt wziął górę i prawie skłonił go do ucieczki. Ale potem kot przypomniał sobie, że jest Łowcą-w-Mroku, który Przechodzi-Między-Światami; własna tożsamość dodała mu odwagi.

Na sztywnych nogach, z nastroszonym futrem rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku. Nie znalazł prostej drogi, ale otwarte drzwi w kącie pokoju prowadziły mniej więcej we właściwym kierunku. Później mógł skrócić. Trzymał się cienia i omijał smugi księżycowego blasku, które padały na ludzką podłogę przez małe zakratowane okienka, umieszczone wysoko w jednej ścianie. Niewiele światła, on jednak nie potrzebował go wcale; jego ciałobłask jarzył się oczekiwaniem, a kociak obok odzyskiwał jasność z każdą chwilą. Łowca ostrożnie prześliznął się pomiędzy drzwiami a framugą, ledwie mieszcząc się w wąskiej szczelinie. Za drzwiami leżał człowiek.

W pierwszej chwili Łowca chciał się wycofać. Ludzie ciężko go zranili, raz; nie zamierzał tutaj czekać, aż ponownie zrobią mu krzywdę. Ale potem wychwycił zapach człowieka, który smakował niedobrze. Dotknął nosem stygnącego ciała zastanawiając się, w jaki sposób można pokonać tak potężną istotę bez żadnej rany. Nie czuł zapachu krwi, strachu ani choroby, które wskazywałyby przyczynę śmierci. Tylko nieruchomość i gasnący blask ciała świadczył, że tak, umarło. Jeśli senniaki mogły uśmiercić kogoś takiego... jak on, zwykły kot, może z nimi walczyć?

Jakby w odpowiedzi kociak pisnął obok niego. Więc dwa koty. Tyle musi wystarczyć; z natury nie były zwierzętami stadnymi i nie mogły wezwać na pomoc innych posiadaczy pazurów.

Łowca przeszedł przez zwłoki, zostawiając na nich płomienne ślady łap, i ruszył za głosami senniaków w głąb budynku. Teraz, w świecie jawy, ściany nie ustępowały pod dotknięciem, musieli więc szukać szczelin, okien i niedomkniętych drzwi, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie gromadziły się senniaki. Wreszcie jednak znaleźli się tam, gdzie zew senniaków rozbrzmiewał tak głośno i sprowadzał tak licznych pobratymców, że Łowca-w-Mroku poczuł bliskość celu. Jeszcze jedno drzwi... Słyszeli teraz wyraźnie ten dźwięk, czuli jego wibrację w kościach, niski pomruk, który przypominał Łowcy ludzkie przedmioty, który z nagłą, nieprzyjemną jasnością przywołał

wspomnienia kocięstwa. Jakież małe były wtedy senniaki, jakie zabawne i niegroźne! Niewątpliwie się zmieniały... a zmianę spowodowało to miejsce, ta rzecz za drzwiami.

W nagłym przypływie odwagi Łowca napał na ostatnie drzwi, pchnął je z całej siły. Kociak stał przy nim, nos w nos, kiedy przygotowali się na atak. Lecz atak nie nastąpił. Płyta na zawiasach powoli ustąpiła pod naporem i odsłoniła widok na serce rebelii senniaków.

Były ich setki. Tysiące! Stałe snostwory, przypominające z kształtów te, które Łowca-w-Mroku ścigał w młodości; masywne, rozmyte formy, na przemian rozbłyskujące i gasnące, jakby ich siła życiowa jeszcze się nie ustabilizowała; senniaki, jakich nigdy nie widział żaden kot, strzępki czarnej mgły ocierające się o siebie, zostawiające za sobą ciemne plamy nocnej grzybni, które rosły i rosły, aż w końcu całkowicie pochłaniały ofiarę. W kącie naprzeciwko leżał ludzki kształt, niedawno zgasły; kilka najbardziej zniekształconych snostworów przywierało do zwłok jak pijawki, karmiąc się resztkami ciałaoblasku. Może zabiły tego człowieka, tak jak chciały zabić kociaka.

A na środku pokoju... oto była ludzka rzecz, która wezwała je wszystkie, która śpiewała o głodzie, pokarmie i śmierci niskim, głuchym głosem, sprawiającym, że wszystkie senniaki drżały z podniecenia. Zrobiono ją z zimnego, gładkiego metalu, a w przedniej ścianie uwieczniono blask tysięcy błyszczaków. Z tyłu wychodziły grube czarne sznury, ludzkie korzenie kotwiczące tę rzecz. Na twarzy z lustrzanego szkła zielone błyszczaki tańczyły miarowo, kreśląc słowa i zdania, których żaden kot ani senniak nie mógł przeczytać.

## UWAGA

POCZĄTEK ZADANEGO TESTU 19.53.01

PIERWSZA SEKWENCJA W TOKU

NIE PRZERYWAĆ

Łowca-w-Mroku nienawidził tej rzeczy. Nie znał dotąd nienawiści, a przynajmniej nie takiej. Ale przecież nigdy jeszcze nie zabijał z powodów innych niż głód czy radość polowania. Teraz stał obok kociaka i wzbierała w nim ta sama mordercza furia, którą wcześniej zbudziła napaść na malca. Jeśli takim zdeformowanym stworom pozwalano rosnąć, jeść - rozmnażać się! - wkrótce wyroją się wszędzie w krainie cienia. A wtedy ile czasu upłynie, zanim senniaki zaatakują większe koty, doświadczonych łowców, zręcznych w kłach i pazurach, lecz niezdolnych obronić się przed dziesiątkami pasożytów - a może setkami? Ile czasu upłynie, zanim koty odważą się więcej śnić, czyli spać? Wówczas te ohydztwa, które wdarły się do świata jawy, wykorzystają ich słabość i pozbędą się ich równie łatwo, jak pokonały dwóch ludzi. Nie, trzeba je zabić tu i teraz, a dokonać tego musi Łowca-w-Mroku.

Ale jak?

Trzymając się ścian, powoli zaczął okrążyć pokój. Obserwował je. Ledwie go zauważały, skupione wyłącznie na ludzkość i jej pieśni. Dobrze. Kociak wciąż mu towarzyszył i Łowca był zadowolony, że mały nie okazuje strachu. Będzie z niego kiedyś dobry myśliwy, ocenił. Jeżeli przeżyje starcie z senniakami. Te, które się pożywiały, porzuciły teraz swoją zdobycz i przyłączyły się do pobratymców, krążących nad ludzkość. Od czasu do czasu uderzały głowami w rzecz. Próbowaly ją zranić czy przesunąć? Albo dostać się do środka? Co kryło się we wnętrzu skorupy zrobionej przez człowieka? Może dojrzała samica? Matka tych stworów? Jakiś senniaczy odpowiednik kocimiętki? Jedno było pewne: musiał zabić ludzką rzecz, i to szybko. Coraz więcej i więcej senniaków przybywało z każdą chwilą i wszystkie pulsowały w tym samym rytmie, krążąc ponad rzeczą. Na cokolwiek czekały, niedługo nastąpi - a wówczas cała moc ludzkość zostanie uwolniona. Moc spinania światów; moc zabijania kotów. Musiał coś zrobić, szybko.

Wspomnienia z kocięstwa: zabawa z braćmi i siostrami w wielkim drewnianym ludzkodomu, chwywanie ścierek, toczenie ołówków i ostateczny Wielki Wróg, czarne sznury, najcenniejszy skarb człowieka. Wiły się u podstawy każdej magicznej ludzkoźreczy i ciągnęły się po podłodze jak strugi atramentu. Koty mogły poszarpać ściereki na strzępy, podrapać meble, wytropić i pokonać ołówki, lecz żaden kot nigdy nie ośmielił się dotknąć czarnych sznurów. To było absolutnie zabronione i koty w ludzkodomu szybko się tego nauczyły. Czarne korzenie były kochane przez człowieka i ważne dla jego magii. Ledwie ośmielając się poruszyć, Łowca-w-Mroku przywarł do zimnej ludzkiej podłogi i gotował się do skoku. Drganie ogona nie pozwalało, żeby tylne łapy i zad zdrętwiały od napięcia. Łowca odmierzył dystans, obliczył szanse... i skoczył. W sam środek, pomiędzy pazurzaste, migotliwe i nawet mglistoczarne stwory. Teraz były dla niego cielesne i zastępowały mu drogę, a on odpychał je uderzeniami łap. Senniacza posoka splamiła mu sierść i oblepiła pazury, kiedy upadł na podłogę kilka stóp przed celem; jego atak wyrządził stworom znaczne szkody, ale niewystarczające.

Teraz zwróciły się przeciwko niemu niezliczoną chmarą. Tysiące ohydnych szponiastych stworów, które cuchnęły złem, uzbrojonych w kły, żądła i inne zabójcze wypustki, jakich Łowca-w-Mroku nigdy jeszcze nie widział. Walczył z nimi dzielnie, zdobywając teren cal po calu, lecz miały zbyt wielką przewagę liczebną i uzbrojenia.

Trujące żądło sparaliżowało mu jedną tylną łapę, którą odtąd włókł za sobą. Kolczasty ogon śmignął mu po oczach, zmusił do cofnięcia się o krok. Potem drugi. Przegrywał. Teraz nigdy nie dotrze do ludzkich sznurów, nigdy nie przerwie ich magii. Kraina cienia padnie ofiarą najeźdźców, a potem kraina jawy. Próbował skoczyć do przodu, rozpaczliwie usiłował odzyskać straconą pozycję, ale zderzył się z grupą senniaków i ogłuszony upadł na podłogę. Jeden z mniejszych stworów wbił skręcone kły w jego zdrową tylną łapę, a on nie odważył się odwrócić, żeby go odpędzić. Wykrwawiał się, długo już nie wytrzyma. Ostry wrzask przeszył powietrze, niczym miaukot rozwścieczonej kociej matki - tylko znacznie bardziej przenikliwy. Coś, co nie było senniakiem, uderzyło o tylną łapę Łowcy. A potem nagle kły kaleczące jego ciało rozwarły chwyt i krew senniaka zmieszała się z jego krwią na podłodze. Kociak dołączył do niego i szturchnął go nosem w bok, ponaglając bez słów: dalej! dalej! Kolejny senniak zaatakował Łowcę-w-Mroku i sam został zaatakowany z tyłu; kociak szerzył spustoszenie wśród zaskoczonych stworów, które nie spodziewały się napaści z tej strony. Dalej! Starszy kot podciągnął się do przodu, wbijając pazury przednich łap w podłogę, a kociak tańczył nad nim i bronił go przed wrogami. Tylna część ciała Łowcy prawie całkiem straciła sprawność, wkrótce jednak to przestanie się liczyć; zaledwie długość ogona dzieliła go od czarnych sznurów, teraz już mniej. Ledwie odrobina...

Zacisnął zęby na najbliższym i pociągnął. Szarpnął. Rozdzierał zębami i pazurami, rozrywał powierzchnię wiedząc, że musi szybko przerwać sznur albo zginać. W powietrzu było gęsto od senniaków; krew zalewała mu oczy, prawie nic nie widział, po omacku przebijał się przez gąszcz czarnych korzeni ludzkoźreczy. Rozrywał je jak szalony. Jeden, broniąc się, sparzył go. Lecz ból tylko wzmógł determinację Łowcy. Miał rację, magia tkwiła tutaj. Teraz coraz więcej korzeni próbowało się bronić i nawet senniaki się cofnęły. Łowca mimochodem zauważył, że pieśń umilkła, że w konsekwencji senniaki straciły poczucie kierunku. Dobrze; kociak będzie bezpieczny. Ciachnął sznur i palący ból przeszył mu łapę, ale sznur widocznie zdechł od ciosu i teraz można było dotykać go bezpiecznie. Niewiele ich już zostało i w większości straciły siłę do obrony. Natomiast na ciele Łowcy pozostało tak mało miejsc wolnych od oparzeń... Nawet nie zauważył, kiedy wśliznął się do krainy cienia. Zapadł jakby w sen, ale głębszy; nie całkiem sen, lecz równie nieodparty. W ostatniej chwili pomyślał o kociaku.

7. Zadzwonili o wpół do jedenastej. Dwie minuty potem wybiegł z domu, a za czternaście jedenasta - z Milesem depczącym po piętach - wpadł do instytutu jak burza i natychmiast wystrzelił serią gniewnych pytań. - Co się tutaj dzieje, do cholery? Co ten Davis gada, spadek napięcia? Eden ma własny generator... Kim są ci wszyscy ludzie i co tu robią? Przy głównym

wejściu do budynku zobaczył co najmniej dziesięć obcych twarzy. Niektórzy z zebranych nosili mundury, niektórzy nie. Jedna kobieta płakała. Żona Haskella? Co, u diabła...

- Tędy, sir.

Strażnik - nieznajomy - wziął go mocno pod ramię i poprowadził w głąb budynku. Nie zwykłą trasą. Blokował ją tłum strażników i pielęgniarzy oraz rozciągnięte bezwładnie ciało technicznego asystenta z nocnej zmiany. Jerry Haskell? - Co się stało? - zapytał gwałtownie.

- Atak serca, jak zrozumiałem.

Ale on był idealnie zdrowy...

Prawie się zatrzymał, żeby zadać więcej pytań. Lecz cokolwiek stało się z Haskelllem, było już po wszystkim i nie mógł go uratować. Natomiast projekt Eden może jeszcze da się ocalić.

Puścił się biegiem nie zważając, czy dwaj towarzysze zdołają dotrzymać mu kroku. Wreszcie dotarł do właściwego sektora i wpadł w drzwi do pomieszczenia projektu z pytaniem na ustach i strachem jak lodowaty wąż w sercu. - Co... o mój Boże...

Krew zachlapała część podłogi i dwa całe boki środkowego prostopadłościanu.

Ludzka krew... czy zwierzęca? Czy to kot tam leżał, zaplątany w dymiące kable?

- Na litość... Davis, co się stało?

Asystent odszedł od grupki strażników, stłoczonych po drugiej stronie pokoju.

Czy to zwłoki Caseya leżały u ich stóp?

- Nie wiemy - odparł tępo. - Zasilanie wysiadło w przybliżeniu o ósmej piętnaście. Przyszedłem sprawdzić i znalazłem... to. - Wskazał pokój, krew, ciało. - Zadzwońlibym do pana wcześniej, ale chcieli najpierw wezwać policję. - To Casey, prawda? Jak umarł?

Skinął głową w stronę ciała, ale nie odrywał wzroku od środkowego urządzenia.

Przeklęty kot! Po jaką cholere zaplątał się w kable?

- Zatrzymanie akcji serca, tak mówią.

- To znaczy, że nie wiemy. No dobrze, musimy poczekać na autopsję. - Zawahał się z obawy przed pytaniem, które najbardziej go dręczyło. Wreszcie je zadał: - Ile straciliśmy?

- Prawie godzinę czasu programu i trochę danych pomocniczych. Dużo zależy od tego, czy zasilanie odcięto gładko, czy całkowitą przerwę poprzedziły chaotyczne skoki napięcia. Pewnie będziemy usuwać usterki tygodniami. Richard jest w sieci, próbuje uratować serię, ale niektórych danych już nie odzyskamy. Mówi, że na pewno straciliśmy sekwencję testową.

Cholera jasna! Ale mogło być gorzej. Program w końcu podejmie pracę od tego miejsca, gdzie została przerwana... a realnie myśląc, ciekawe, jakie mogło być prawdopodobieństwo, że program właśnie sprawdzał ten jedyny zestaw warunków, którego szukali, kiedy siadł system?

Podszedł do ciała kota i przykucnął obok. Tak, nie ma wątpliwości, to on spowodował awarię. Cholerny zwierzak! Zupełnie jak te szkodniki w domu, które niszczyły wszystko, co im wpadło w łapy...

A potem spostrzegł bliznę na czole i białą skarpetkę na przedniej łapie, i już wiedział.

- Doktorze McGillis?

- Idź, pomóż pielęgniarzom - polecił Davisowi. Ucieszył się, że głos nadal ma spokojny. - Zobacz, czy czegoś nie potrzebują.

Po odejściu Davisa szepnął:

- Patrz, Miles. Poznajesz go?

- To znaczy, czy on wygląda jak jeden z twoich kotów? Tak? Wes wyjął ołówek i końcem odwrócił na bok łepkę zwierzęcia. Blizna po ranie postrzałowej była wyraźnie widoczna, otoczona zwęgloną tkanką i strzępkami osmalonej sierści.

- To czwarty z tego miotu. Ale jak on przeżył? Mój Boże, implikacje... - Wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o konsolę urządzenia na środku; kłykcie mu zbieleły, co zauważył Miles. - Płodny, zmieniony genetycznie... i żyjący w lesie na wolności od miesięcy. Jeśli FDGA to wywęszy... Elsa straci licencję, na początek, a projekt... - Zamknął oczy. - Genetyka stosowana cofnie się o dziesięć lat, jeśli fundamentaliści się dowiedzą; wszystkie stare lęki znowu wypłyną. Chryste!

- Czy muszą wiedzieć? - zapytał cicho jego przyjaciel.

Wes podniósł na niego wzrok z błyskiem nadziei.

- Nie. Oczywiście nie muszą.

Puścił konsolę i powoli wstał.

- Będą mieli dosyć problemów z ustaleniem, jak kot się tutaj dostał. Nikt nie zapyta o jego pochodzenie.

A jego oczy w czerwonych obwódkach powiedziały resztę: Zniszczyć kota jak najszybciej. Ocalić program. Załatwić wszystko po kolei. Powoli ruszył w stronę grupy strażników otaczających kota, układając w myślach odpowiedzi na pytania. Nie, dowiedział się o wypadku dopiero pół godziny temu. Nie, nic związanego z projektem nie mogło spowodować takiej katastrofy.

Absolutnie nic. Doprawdy nie rozumie...

Miles ponownie spojrzął na podłogę, potem szybko odwrócił wzrok. I postanowił jeszcze nie mówić, co zobaczył. Niech Wes na razie myśli, że już po wszystkim. Miał dostatecznie dużo kłopotów.

Później, kiedy wszystko przycichnie, Miles zdąży powiedzieć przyjacielowi o śladach kociaka.

Przełożyła Danuta Górską